

Renata Przymyk

Artystka niezwykle ceniona ze względu na nieprzeciętny talent muzyczny, niepowtarzalny głos i indywidualność artystyczną. Większość jej płyt uzyskiwała status złowych. Z wykształcenia jest bohemistką. Urodziła się w Bielsku-Białej, studiowała w Katowicach. Na scenie oficjalnie od 1989 r., kiedy to zdobyła Grand Prix Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Pierwszą swoją płytę wydała w 1990 r., wraz z zespołem Ya Hozna. W 1991 r. rozpoczęła solową karierę, wydając kolejne 9 płyt. Ostatnia z nich - „Odjazd” - ukazała się 13 listopada 2009 r. Lubi Virginie Woolfm Marqueza i Yourcenar, ale też Bjork i Richarda Galliano. Fascynatka teatru, kompozytorka, czasem aktorka. Marzy o podróży dookoła świata.

tekst: Renata Przymyk foto: Elżbieta Schonfeld



Życzę szczęścia!

Mogłam pisać o Pięciu Przemianach, o obsesji, o miłości czy o muzyce. I na wiele innych tematów, które mnie nurtują (ładne określenie związane z wodą) i prowokują do zagłębienia się, gdy nagle, w ostatniej niemal chwili, zwyciężyło szczęście. Dostałam maila z takim listem, który trzeba koniecznie wysłać do dwudziestu (im więcej tym lepiej) znajomych, to wtedy szczęście wielkie nas spotka, a jak nie wysłamy, to nie spotka i może się nawet coś niedobrego zdarzyć. Bo szczęściu na drodze stawać nie wolno! Czy wysłałam? Nie pytajcie. Było w tym liście kilka naprawdę mądrych sentencji. O szczęściu właśnie. O tym, jakie jest ważne i że trzeba o nie walczyć! Tak jakbym tego nie wiedziała. Zastanowił mnie tylko rodzaj przymusu i sugestii, że może mi nie zależeć na szczęściu moich bliskich i znajomych. I pomyśleć, że jednym kliknięciem można uszczęśliwić tylu ludzi! Żyjemy w czasach szybkiego uszczęśliwiania!

Myszę czasem (a ile to jest - często?) o własnej przyjemności, o ludziach i rzeczach, które lubię, o smakach, miejscach i sytuacjach, które dają, mogą dać, mi szczęście. I o tym, jak je zdobyć. Nie jestem typem Wilhelma Zdobywcy, bliżej mi do Kłapouchego, ale po lekturze „TE Prosiaczka” łatwiej mi uwierzyć, że i to „małe” też jest wiele warte i zasługuje na szczęście. Mam fajną pracę i swoje miejsce na Ziemi, i ludzi, którzy mnie lubią, i czasem zastanawiam się, czy wypada chcieć więcej, czy może są jakieś limity i może innym braknie albo mniej szczęśliwi znajomi przestaną mnie lubić.

Od kiedy stosuję metodę wdzięczności i pranajamy, wyczyściłam sobie wątrobę, respektuję rytm Księżycy i jego wpływ na mnie i czasem zjem coś naprawdę zdrowego - żyje mi się coraz lepiej. Czy czegoś jeszcze mi do szczęścia potrzeba? Kochani, jak sobie pomyślę, jaka jestem teraz zachłanna na szczęście, to powinno mi być chyba głupio. Nie jest. Bo uwierzyłam, że cieszenie się życiem jest możliwe! Wszystkie mądre księgi mówią, że szczęścia wystarczy dla każdego i że to nie grzech i że jeśli dobrze rozumiałam, powiększa się wokół nas wprost proporcjonalnie do naszego własnego. Mamy święty obowiązek robić jak najwięcej dla swojego szczęścia i błyszczyć nim wokoło, aż się wszyscy zarażą i też zapragną zrobić coś dla własnego dobra. Nie można tego mylić z egoizmem! Szczęśliwy człowiek jest lepszy dla innych (więc też podnosi

im współczynnik szczęścia w życiu!), szczęśliwa matka jest podstawą szczęścia dziecka, szczęśliwy pracownik oddaje serce swojej pracy i firmie (na to są nawet osobne badania) a szczęśliwa żona..., itd. Brzmi jak niezły kicz, co? Taki landshaft emocjonalny. A czemuż by nie?

W pewnym momencie odkryłam, że szczęście wyzwala i nie jest ważne, jak wyglądamy czy robimy coś głupiego. Jeśli daje nam to szczęście... Życie jest takie krótkie, ale jak odpowiednio wykorzystamy swój czas, to możemy umierać z uśmiechem na ustach (choćby głupim!) i satysfakcją, że zostawiliśmy po sobie coś, co daje ludziom radość. Czasem jest to głębia wzruszeń przy sztuce wysokiej, czasem głupi dowcip czy wyjątkowo smaczne danie.

Parę lat temu odczułam bardzo silną potrzebę zmian w moim życiu. Gdzieś mi umknęła zwyczajna radość. Byłam spięta, a wielki nos lepiej pasował do wciągania antykwarycznego kurzu niż pierwiosnków czy krewetek w czosnku. Funkcjonowałam już właściwie tylko po tej drugiej stronie lustra, jeszcze chwila, a nie umiałabym wrócić. Wpadła mi w ręce pierwsza książka o jodze, która pociągnęła za sobą całą lawinę lektur i przeróżnych praktyk z serii - jak żyć lepiej szczęśliwiej i zdrowiej (bez konieczności zmiany wyznania). „Bóg ma poczucie humoru. Udowodnił to stwarzając dziobaka”. Z jakiego to filmu? Dobrego, polecam!

W „Siedmiu Prawach Duchowych Jogi” przeczytałam, że jeśli coś dajesz, to masz szansę dostać coś w zamian. Nie wydawało mi się, że mało daję, ale postanowiłam dawać więcej. Było tam napisane, że można zacząć od uśmiechu. Wyszłam na na ulicę i ja, mruk i introwertyk pierwszej wody, zaczęłam się uśmiechać do ludzi, w sklepach, na przystankach, i zaczęło mnie to bawić. Myślałam, że wezmą mnie za kretynkę, ale wszyscy mi odpowiadali i było milej niż sądziłam. Możecie się śmiać, ale dla mnie to było prawdziwe wyzwanie i zwyczajstwo nad sobą. Dość powiedzieć, że mi się spodobało. Potem już poszło. Wszystko jest kwestią odpowiedniego nastawienia i widzenia dobrych stron. Optymiści żyją dłużej i są szczęśliwsi. Ostatnio słyszałam znakomity dowcip o tym, czym się różni pesymista od optymisty: Pesymista mówi: No nie, nie może już być gorzej! A optymista na to: Może, może!